

RELACJA

Kazimierza Zienkiewicza

nagrana 21.02.92 we Wrocławiu przez Małgorzatę Strasz
zapis rozmowy

ARCHIWUM WSCHODNIE

I/931

Międzynarodówka: Estończyk, w środku ja jestem, tutaj ten Żydek Andrzej...

Pyt: Nad nim stoi:

Azer z Azerbejdżanu, chyba tak, a tu Ukrainiec. Może jeszcze nie wszystkich ja wymieniałem.

Pyt: Trzecie zdjęcie...

...to po wyjściu z obozu, w gruźliczym szpitalu byłem, i tu też paru Polaków jest, trzech. To też w tym szpitalu, też międzynarodówka. Już jako wolny. To też ze szpitala, to wszystko to samo. Zaraz będą ciekawsze zdjęcia będą, bo to takie...

Pyt: Ten szpital w Spasku był?

Nie, był już w Karagandzie, na przedmieściu — Majkoduk. To jeden z przyjaciół... To taki Rosjanin, zupełnie i głuchy był i sparaliżowany, i pan Kazimierz Rutkowski...

Pyt: Po lewej, zdjęcie numer 4.

Andrzej, to Józio, no to nic ciekawego, to Romek, to mój przyjaciel Ukrainiec.

Pyt: Z tej Wigilii?

Tak.

Pyt: I to też z Karagandy? Karaganda to jest?

To w Spasku.

Pyt: Acha, w Spasku, pierwsze zdjęcie.

Tu mam dwa takie.

Pyt: A nazwiska tych ludzi, chociaż niektóre?

Zaraz, postaramy się, może nie wszystkie, ale...

Dookoła obóz w Spasku był murem otoczony...

Tam już przepowiedziałem [Jegorzowi?], on był na 25 lat skazany — tam przepowiedziałem jemu, że on wcześniej ode mnie zostanie zwolniony. Bo on za nic siedział dosłownie, coś o Stalinie uszczypliwie powiedział, dostał 25 lat.

Pyt: Nazwiska jego Pan nie pamięta?

Pamiętam, zresztą już z Leningradu on mi to zdjęcie przysłał, jeszcze chyba nawet do obozu. Taka historia. Był dyrektorem technicznym jakiegoś zakładu poligraficznego. Malowano przed świętem 1 maja biuro i pozdejmowano portrety. Przychodzi on, portrety wszystkie zawieszono, mówi:

— A gdzie Stalin?

Bo nie było tego [portretu]. Ktoś tam mówi:

— Na karidorie.

Wyszedł na korytarz, biurko jeszcze stało, jeszcze nie wniesione — leży duży portret Stalina, i muchy popstrzyły, i on mówi:

— Ot twoju mać, Stalina muchy za... *Riebiata*, oczyścić, powiesić Stalina.

Wyglądało to tak. Sekretarka nie widziała tego — powiedziała, że frywolnie wyrażał się o Stalinie i mówił, że „Stalina to trzeba powiesić”. Tak jak Szwejk. Ale dosłownie tak. No i 25 lat dostał. Po śmierci Stalina ona przyjechała do obozu, żeby już rozwód wziąć z nim, bo cóż — na 25 lat skazany, a jakiś major... Ona była bardzo ładna kobietka, jak z żurnala; tu nawet na tym zdjęciu...

No i ja miałem przyjaciela takiego nadzorcę, to był Uzbek, on kilku Polaków poznał, i miał dyżur. Ja mówię:

— Słuchaj, pozwól mi do Arczejewej pójść. W tym domu *swidania*...

A on mówi:

— Nie, nie wolno, bo ktoś nadejdzie.

A ja mówię:

— Słuchaj, to moja krewniaczka...

Ja w piekarni wtedy pracowałem, bochenek chleba wziąłem — na kolację chleba nie mają... On mówi:

— Jaka twoja krewniaczka, ona z Leningradu, a ty Polak?

Ja mówię:

— To my mamy i krewnego i na Księżycu.

— No to idź, tylko na 5 minut.

I ona chciała tam mnie poczęstować, ja mówię:

— Słuchaj, wszystko (bo jej powiedział ten major, że on [jej mąż] miał drugą żonę w tym [obozie], zdjęcia przedstawili...), wszystko od początku do końca kłamstwo, chcą was rozdzielić, tak obok spaliśmy, on mi cały swój życiorys opowiadał i prócz ciebie nikogo nie miał w życiu, na pewno tak.

Ja zacząłem w pośpiechu, a ona mnie tak słuchała, słuchała, a potem rzuciła mi się na szyję, mówi:

— *Wy tak ubiditelno gawaritie, szto wam nieszia nie wierzyć.*

No i potem już chciała [...], ja mówię:

— Nie, czekajcie jeszcze, bo wam dali jedną noc na to widzenie się. Teraz niech on pisze, jeśli nie macie papieru, to wam przyniosę (ona ma papier), niech opíše, za co siedzi, dlaczego siedzi (a to był rok po śmierci Stalina). Ty będziesz w Moskwie w prokuraturze, bezpośrednio postaraj się dostać (a ładna kobieta to wszędzie się dostanie)...

I ona zrobiła tak. Po 2 czy 3 miesiącach, ja już byłem w innym baraku, przenieśli nas do ~~Fiedrowa~~ **Fiedorowki**, do innego obozu, ale on też tam był. Przybiega do mnie, mówi:

— Kaziu!...

— Szto?

— Jedu! — oczy mu się świecą.

— Dokąd?

— Do domu.

— No widzisz — mówię.

Zwolnili go z miejsca. I potem, ot, w czasie stanu wojennego tylko zerwała się między nami korespondencja.

Pyt.: To trzecie [zdjęcie]... To może tę Wigilię [zdjęcie z Wigilii] byłby Pan łaskaw opisać... Może od prawej: jedyńka?...

To jest moje zdjęcie.

Pyt.: Pan Zienkiewicz...

Pod dwójką Józio Rymkiewicz, obecnie mieszka w Szarkowszczyźnie, na Białorusi; trójka: Janek Żemojtin, gdzie mieszka teraz, nie wiem; pod czwórką u dołu Bronek Szeremeta, mieszka we Wrocławiu; pod piątką Henio Jasiukiewicz, stryjeczny brat naszegoświętej pamięci aktora Jasiukiewicza. Było nas ze czterdziestu na... urządziliśmy sobie Wigilię, stół, z prawej strony widać...

Pyt.: W Karagandzie?

W Karagandzie, w Spasku, w tak zwanej Dolinie Śmierci. Tam już niezdolnych do pracy zsyłano. I mało było do śmierci, tylko, że wcześniej Stalin zmarł i z tego obozu ludzie mogli później w większości powrócić.

Pyt.: Tu jest też chyba ta Wigilia, prawda?

Tu jest to samo. Tylko, że tutaj widać — ten pan tutaj, pan Rutkowski...

Pyt.: Pierwszy po prawej za stołem.

Kazimierz Rutkowski, sparaliżowany, tośmy po prostu przynieśli go. Tutaj w środku ja, po prawej mojej stronie Władek Pietkiewicz, mieszka obecnie koło Kętrzyna i Józio Rymkiewicz...

Pyt.: To było zdjęcie numer 2... Tu jest takie ciekawe, że szpitala w Spasku.

Ze szpitala w Spasku. U góry po prawej stronie: drugi to ja jestem, tu ci panowie w kitlach lekarskich to nie lekarze, tylko od prawej Litwin, nazwiska nie pamiętam już i ten w środku bodajże Ukrainiec, a pacjenci różnej narodowości, jak widać, i Kazachy i Ukraińcy i Rosjanie...

Pyt.: Szóste zdjęcie:

Od lewej ku prawej: Józio Rymkiewicz, drugi to Rosjanin, nie pamiętam [nazwiska], trzeci to Gułyk, nie pamiętam jego imienia, chyba Leon, ale nie jestem pewny. Czwarty Bronek Szeremeta, piąty ja, szósty Władek Pietkiewicz.

Pyt.: To było szóste zdjęcie.

To jest szpitalne zdjęcie, ale przyszli odwiedzić mnie koledzy i przy tej okazji tej pielęgniarki, drugiej od lewej, mąż robił zdjęcie, dlatego też to zdjęcie takie trochę wyblakłe. Pierwszy to jest Kazik Puchalski, on też już wyszedł z obozu i pracował już w kopalni chyba, drugi Wacek Kozłowski, trzeci Mietek, ale nie pamiętam jego nazwiska, czwarty, ten niski Poldek Knispel ze Lwowa, za nim głowa pani Zofii, nazwiska nie pamiętam, bardzo sympatyczna starsza pani, absolwentka uniwersytetu kijowskiego, prawniczka, odsiedziała 10 lat, była zwolniona, ale była przypisana do rejonu karagandyjskiego i pracowała w szpitalu jako magazynierka. Następna osoba to ładna dziewczyna Ukrainka, wyszła za mąż za Polaka, Polak już wyjechał do kraju, a ona czekała na tak zwany wyzew, zresztą później wyjechała do Polski. Następna głowa to znowu ja jestem i ostatnia z prawej to jest Jadzia Puchalska, siostra Kazika Puchalskiego.

Pyt.: [To było] zdjęcie siódme. Tu jakieś jeszcze nowe osoby?

To też ze szpitala, po wyjściu z Karagandy. To dwie siostry szpitalne i od lewej: Wacek Kozłowski, w środku ja i Kazio Puchalski. Oni przyszli mnie odwiedzić w szpitalu. Byli już zwolnieni z obozu.

W innym układzie, troszkę inne osoby, ale też: Jadzia Puchalska, Mietek, którego nazwiska nie pamiętam, Kazio Puchalski, to te siostry szpitalne, Poldek Knispel, Wacek Kozłowski, no i ostatni od prawej to ja jestem, a reszta to panie, obsługa szpitala.

Pyt.: Dziewiąte...

A to nasz Poldek Knispel, ze Lwowa, z obsługą szpitalną.

Pyt.: To jeszcze, o to zdjęcie...

To Karaganda, Spask.

Pyt.: Dziesiątka...

Od lewej Władek Pietkiewicz, Bronek Szeremeta, Kazimierz Zienkiewicz i Józio Rymkiewicz.

Pyt.: Jedenastka.

To zdjęcie pod murem więziennym, od lewej Pawełek Bykow, czy Rosjanin czy Ukrainiec nie wiem, doskonale po

rosyjsku mówił, w Polsce był nauczycielem, był skazany na 25 lat, zostawiłem go w obozie mimo, że był kompletnym inwalidą, ciężko chory, i ja tu jestem na tym zdjęciu.

Pyt: Tak, jedenaście.

Ja i Józio Rymkiewicz. To też po wyjściu z obozu i w szpitalu, już Karaganda – Majkoduł. Tu jest Poldek Knispel i ja z nim.

To ciekawy chłop – to w Karagandzie Aktas, nie wiem, gdzieś tam w pracy, elektryk on był, dyżury trzymał na kopalni – i ktoś z aparatem, widocznie z wolnych ludzi, przyszedł i zrobił mu takie zdjęcie. Na 25 lat skazany był, Romek, nazwisko zapomniałem, ja sobie przypominę potem...

Pyt: Tak, i to jest ten Rosjanin...

[opis fotografii na końcu relacji]

To zwolnienie ze szpitala w Mariińsku, a to zwolnienie z obozu. Chyba macie masę dokumentów. Tutaj przychodził jeden kawaler, a potem drugi to kończył, ja do magnetofonu w skrócie, chociaż parę wieczorów tak opowiadałem o stosunkach i przeżyciach w poszczególnych obozach. Ale czy to do Warszawy dotarło, ja nie wiem.

Ja w Armii Krajowej byłem, byłem ostatnim komendantem Obwodu Braśławskiego, tam daleko, przed aresztowaniem. A właściwie, kiedy aresztowany byłem, nie byłem już komendantem, tylko pomagałem wyjechać...

Pyt: Pan wspomina w liście Rymszę Antoniego...

Nie wiem, kto to był pan Rymsza, nie wiem, tak, ale...

Pyt: To zdaje się od „Łupaszki” ktoś...

Przez niego ja... jego kolega nas zdradził. Nie mam do niego [do tego kolegi] pretensji, bo doprowadzili go do takiego stanu, ręce mu się trzęsły, cały spuchnięty był, nie poznałem go po prostu po miesiącu pobytu w tym. I on powiedział, że ja ułatwiłem Rymszy wyjazd do Polski. I wtedy wzięli mnie w obroty. Byłem pod innym nazwiskiem, ale któregoś dnia śledczy z takim złośliwym uśmiechem mówi:

– No, skażycie, kak wasze familia, imie, otczestwo?...

Ja mówię:

– Sto razy mówiłem...

I on jeszcze tak na wstępie mnie powitał:

– Zdrastuj, Kazimir Kazimirowicz.

To już od razu poczułem, że tu coś nie tak, bo ja byłem Kazimir Antonowicz według dokumentów.

Był tutaj jeszcze jeden pan, dałem mu te wspomnienia – czy do skopiowania, czy do przeczytania – doktorat miał pisać o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Ale ja tam miałem opisane tylko do internowania nas przez armię radziecką, o tym, jak się organizował ruch oporu na Wileńszczyźnie, no i perypetie z tym związane. Odniośł mi, prawda, bo ja miałem tylko kilka egzemplarzy przez kalkę pisane, ale to dałem takiemu Kazikowi Krauzemu, na pewno u was tam w ewidencji jest, i jeszcze paru kolegom – i mnie jeden egzemplarz tylko został.

Moim zadaniem było – i wykonałem to zadanie – rozmieścić wzdłuż granicy litewskiej, łotewskiej i rosyjskiej oficerów „Wachlarza”. Tu ktoś podał panu Chlebowskemu, że oni sami tam przez swoich krewniaków... Możliwe, że później znaleźli krewniaków, ale pierwszy kontakt mieli ze mną i ja ich skutecznie uposażyłem. Tam zresztą czuwałem, żeby wyspy nie było, i ten odcinek „Wachlarza” wyszedł cało z całej operacji. W przeciwieństwie do IV Odcinka, który cały został wykończony. To była duża zdrada...

Pyt: Żeby nie męczyć Pana opowiadaniem po raz kolejny o wszystkim, prosiłabym o Karagandę, a zwłaszcza o Dubówkę...

Dobrze, więc Dubówka I, Dubówka II...

W drugiej połowie grudnia 1948, przepraszam, 1949 roku, zorganizowano etap – oczywiście jak zwykle w nieznane. Nigdy ani mówiono nam, dokąd, ani nawet przecieków żadnych nie było. Mieliśmy nadzieję, że gdzieś do lepszej krainy niż północny Ural, gdzie tajga, mrozy [minus] 40–45 stopni. Lata króciutkie, dżdżyste, mokre. No cieszyliśmy się, że wyjeżdżamy.

Jechaliśmy pociągami, oczywiście towarowym, zadrutowanym, przez chyba 8–10 dni. Bardzo zimno było. Mieliśmy piecyki w wagonach, dawano kilka polanek drzewa na dobę, no to oszczędnie paliliśmy. Ale rewizję robiono na każdym postoju, opukiwano wagony, liczono nas – i przy jednej rewizji znaleziono kilka strużyn drzewa przy piecyku. No i zaraz nadzór:

– Kto ma nóż?..

Oczywiście nikt się nie przyznał, więc musztrowano, musztrowano, wypytywano, a potem:

– Za karę nie dostaniecie opału.

To rzeczywiście była kara straszna. Ja miałem szczęście, bo Ormianie i jacyś inni jeszcze *nacmeni*, chyba z Kaukazu, zaprosili mnie na górną prycę i do środka, gdzie trochę cieplej było – żebym opowiadał im bajki, nie bajki, *romany*, jak oni mówią. Bo ktoś powiedział dla nich, że Zienkiewicz świetnie opowiada. Opowiadałem im, mnie cieplej było i tytoniu wystarczało, bo dziwnym zbiegiem okoliczności oni wszyscy byli lepiej ubrani. Widocznie należeli w obozie do tak zwanych *pridurków*, to znaczy takich oficjeli. Opowiadałem „Bajki z tysiąca i jednej nocy” i opowieści, chyba coś z Dumas’a opowiadałem, co mi w pamięci zostało. A potem „Trylogię” zacząłem opowiadać, „Quo vadis” opowiedziałem – tak byli zainteresowani i jak przynoszono kubek zupy, to pierwszy Kazimir dostawał, *razkaszczyk*. Troszczyli się, żebym się nie zaziębił i żebym mógł im opowiadać.

W każdym razie tę podróż zniosłem względnie dobrze. Na nieszczęście, kiedy zabroniono dawać opał do naszego wagonu, to mimo że jakieś tam *buszłaty* miałem i na nogach mieliśmy nie walonki, bo nam walonki odebrano przy wyjeździe, tylko dano takie gumowe *czunie*: kalosze zrobione z opon samochodowych, i *bahili*: coś w rodzaju grubych, wełnianych skarpetek, takie jak watowane rękawy. I kiedy tak było zimno, zwłaszcza nocą — wagon nie taki szczelny znowu, wywietrzony był — to ktoś wpadł na pomysł, żeby te kalosze, *czunie*, spalić. Jak się jeden kalosz taki wrzuciło do pieca, piecyk od razu stawał się czerwony i przez jakiś kwadrans było ciepło. Ale jak było nas w wagonie, to nie były duże pulmany, chyba 40 — 50 — ciu — jak tyle czuni spalono, to dojechalśmy do Karagandy we względnie ciepłym wagonie.

Ale akurat była Wigilia Bożego Narodzenia, pędzą pod górkę może kilometr do bramy obozu. Przed bramą światło, stoły postawione i teraz sprawdzanie, kto jest kto — oczywiście według rytuału sowieckiego, enkawudowskiego. A właściwie MBG było, nie NKWD. Na całe szczęście, że litera „Z” w alfabecie rosyjskim to raczej na początku i ja stosunkowo szybko dostałem się — chociaż tańczyłem w tych *bahilach* bez kaloszy na śniegu, ale nie odmroziłem nóg. A ci, którzy byli na „Ju”, na końcowe litery — poodmrażali sobie nogi. Potem przez dłuższy czas nie tak łatwo wyleczyć...

Zapędzili nas do pustych baraków, ziemianek. W takim jednym baraku napakowano z setkę osób może. Nie było wszystkim miejsca na pryzach, tylko całe szczęście, że te baraki miały podłogę, nie klepisko, jak gdzie indziej. Zamknęli, trzymają nas do południa następnego dnia. Wyprowadzają do stołówek: jakąś kaszę, gęstszą zupę dano, ponieważ raz na dzień tylko w pierwszych dniach [dawano jedzenie]. No ale cóż — pół litra tej kaszycy i poza tym nic, nawet chleba nie dali w pierwszym dniu. W drugim dniu dali chleb.

W tym baraku razem ze mną znalazł się porządny Rosjanin, zaprzyjaźniliśmy się aż od Orszy z nim: Zawiediejew. To był technik budowlany, zawsze namawiał, żeby zapisywać się cieślą — wtedy do łatwiejszej pracy... On zawsze był jakimś brygadzystą albo *dziesiatnikiem*, kierował robotami ciesielskimi. Potem przyjaciel z Brasławszczyzny: Żurnia Edek, Bolek Kierzik... któż tam jeszcze był? Kośnikowski, też z Wileńszczyzny, nie pamiętam jego imienia, też bardzo porządny.

W każdym razie wszyscy znaleźlim się, i wszyscy mieliśmy zamiar zapisywać się jako cieśle w brygadzie. Trzymano nas ściśniętych w tych barakach może tydzień. Wypędzano na majdan, szeroka aleja między barakami była — tak liczę: około 3000 nas było — i major MBG występował, przechadzał się wzdłuż szeregów w kozuchu, w czapie zimowej, w walonkach, chłodu nie cierpiał — i perorował przynajmniej godzinę:

— Wy przyjechaliście tu pracować; to nie będą wczasy; kto będzie pracował, ten będzie żył; kto nie będzie pracował, ten zgnije...

Oczywiście to była zapowiedź obostrzonego reżimu. Bardzo wielu nogi pomroziło, ręce pomroziło, bo na takim mrozie on trzymał, żeby wykończyć. Po prostu pastwił się. Wiedział, że ludzie skręcali się i tupali z zimna, a on... Nazywaliśmy go „stary *wierablej*”, bo mówił:

— Ja jestem starym wróblem i nie pójde na plewy...

Ale po jakimś tygodniu zaczęto nas już rozdzielać na brygady. I ponieważ my akurat szczęśliwie znaleźliśmy się w tej samej grupie, gdzie Zawiediejew — zresztą nasze litery: Zawiediejew, Zienkiewicz, Żurnia, też pasowały... Tylko nie wiem, jak Kośnikowski i Kierzik tam trafili. Nie, przepraszam, Kierzika nie było, Kierzika zostawiliśmy na Uralu, bo on na gruźlicę zachorował i tam w szpitalu był.

Rozdzielono nas na brygady i cieszyliśmy się, że jak pójdziemy do pracy, będzie lepiej. Poszliśmy do pracy do kopalni 105. Przy kopalni 105 budowali fabrykę wzbogacającą węgiel: *abogatielnaja fabrika*. No i tam, ponieważ ciesielskie roboty już na Uralu poznałem i z Zawiediejewem w przyjaźni żyliśmy, to po pracy nie było najgorzej. Ale głód straszny dokuczał... Może nawet jedzenie było bardziej ludzkie niż na Uralu, bo tam to trawę dawano, tam w lecie to *iwaczaj* dawali, to coś w rodzaju szczawiu — kwaśne badyle siekano i dawano do kotła. Tutaj tylko była kasza, ale rzadziutka, suszona kapusta czy ziemniaki suszone — tylko bardzo maleńko. Paczek nie wolno było otrzymywać, bo nie dali nam adresu naszego miejsca pobytu.

Tak się ciągnęło chyba do wiosny. Wiosną podano adres: Dubowka, nie pamiętam już, który numer. Naszyto nam, a właściwie namalowano na fufajkach na plecach, na piersiach, na czapkach, na spodniach — numery. Ja miałem numer A—596. Chlorkiem wypalano na tych ciemnych... albo jeśli czasem nie można było tego numeru wyraźnego napisać, to wtedy naszywano go.

Pozwolono nam listy pisać. Oczywiście rzucili się wszyscy, ale trzeba było mieć znaczek — i to już była tragedia, bez znaczka nie przyjmowano. Zaczęli kombinować z wolnymi ludźmi, którzy pracowali też na kopalni, przy budowie tej fabryki, tam instalatorzy różni byli. Trudno — oni bali się, mieli zakaz z nami kontakt utrzymywać. Ale powoli, powoli udało się... Niektórzy dostawali w jakiś sposób te znaczki, za dwie porcje chleba można było znaczek dostać. No to dwa dni trzeba było być głodnym.

Jakoś ja też uzyskałem ten znaczek, ale cóż — pisało się, nikt, odpowiedzi rzadko tak, po pół roku to na 3 tysiące osób może 50 osób dostało jakieś odpowiedzi. Ale zaczęły się paczki pojawiać — i ci właśnie prosili przede wszystkim o znaczki.

Ja chyba z 8 miesięcy nie mogłem zdobyć kontaktu. Była na Wileńszczyźnie kuzynka, która dopiero w 1959 roku przyjechała do Polski, na jej adres pisałem. Papieru nie było, ale kiedyś ja z worka cementowego kawałek czystego papieru wyciąłem w kształcie pocztówki i poliniowałem jak pocztówkę, adres, to dałem któremuś koledze, który już miał kontakt z wolnymi... W ten sposób moja kartka trafiła do kuzynki. Tu w Polsce już matka była, pisała do kuzynki,

przez nią kontakt utrzymywała. A pewnie z Uralu dali odpowiedź do kuzynki, że „*takowo niet w ewidencji*”. „*Niet*” — no to zmarł... Tak, że tu za mnie już nabożeństwo odprawiano... A tu raptem kuzynka się ucieszyła — przyszła ta kartka, mieli adres. I po jakimś czasie paczkę dostałem. No to już radość była.

Jakie życie było... Rano pobudka była o szóstej. Od szóstej do siódmej do stołówki brygady szły na śniadanie. Dostawało się chleb, zasadniczo 600 gram, ale taki kleisty, to była kasza nie chleb, i rano zupę, w obiad zupę i na kolację zupę. Rzadziutka zupa taka. Ale po jakimś roku zaczęto dodatki dawać. Jeśli ktoś wyrobił normę ponad 100 procent, to dodawano jeszcze 100 gram chleba i łyżkę kaszy do obiadu. Oczywiście to było nic.

O siódmej szliśmy do pracy i tak było w Dubowce I: kopalnia 105 i obok kopalnia 107. Tu już parę brygad zorganizowano do pracy pod ziemią, w koplani 107. Ja chodziłem na budowę do kopalni 105. Zawiedzieją dano do gorszej brygady. Normy nigdy nie wykonywano — to *sztrafnoj* dostawali. *Sztrafnoj* to znaczy 300 gram chleba i jedna zupa. Strasznie tam było. Dobrze, że miałem przyjaciół: Karol Nasiadek, remontował piece, zdunem był, w kuchni remontował często i czasem coś dostał. Miałem przyjaciela takiego, pana Wyszaty-~~C~~kiego, Ukrainiec był. Świetnie po polsku mówił, był polskim podoficerem. I pan Wyszaty-~~C~~ki, nie wiem, jakąś sympatię do mnie poczuł — on był palaczem przy kuchni, i on mówi:

— Po co masz chodzić do pracy i głodować, w ogóle nie chodź: i tak, i tak karny dostajesz przydział... Chodź do mnie na pomoc do kotłowni.

No i tak kilka miesięcy byłem w tej kotłowni. Kiedyś słyszymy krzyk na dworze, nocą. W kotłowni co prawda wentylatory troszkę szumią, ale przychodzi Wyszaty-~~C~~ki z innego pomieszczenia i mówi:

— Coś się stało, jakiś krzyk, chyba kogoś zamordowano...

Jakoż po kwadransie może wpada kilku nadzorców i pytają, czy ktoś nie schował się u nas, czy ktoś nie przychodził.

— Nie, nikt nie przychodził.

Nie wiemy, o co chodzi. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że Ukraińcy Ukraińca jakiegoś zabili, bo podejrzewali go, że jest donosicielem.

Ja tak przetrwałem parę miesięcy. Jeszcze jedno z mego życia wydarzenie: jakich ludzi spotykałem. Nas na noc zamykano w barakach aż do świtania — aż do śmierci Stalina taki ostry reżim był. Ale jeszcze zanim do tej kotłowni trafiłem, byłem taki wychudzony, tak osłabiony, że poszedłem ja do przychodni obozowej, i tam był lekarzem, nazwiska nie pamiętam, Żyd, też więzień, z Moskwy. I on dał mi parę dni zwolnienia nawet i mówi:

— Przyjdź pojutrze, tu będzie naczelnik, może ciebie hospitalizujemy.

Naczelnik to był wredny kapitan czy major, taki nieprzystępny był... On miał pod opieką te punkty sanitarne. No i ten lekarz, Żydek przy nim bada i mówi:

— O, *naczelnik*, tego trzeba położyć, bo już i serce i widać, że to ostatnie tygodnie.

Ten [naczelnik] nic. Przechodził ten major i mówi:

— Idź do domu, zbieraj się i do szpitala.

Tak, że tamten nie zaprzeczył i nie zezwolił. Tam [w szpitalu] oczywiście lepszy wikt, wypocząłem, tydzień chyba byłem i o wiele lepiej się poczułem. I miała być wizyta tego majora. Ten lekarz Żydek mówi do mnie tak:

— On może cię wypisać, to wiesz co: zmocz sobie kalessony herbatą, nalej sobie do... (bo tam w barakach [w obozie] nie mieliśmy pościeli, a tu materac jakiś tam był pod siennik i prześcieradło było), zmocz sobie trochę prześcieradło i jak przyjdzie, to ja powiem, że ty pod siebie robisz...

No i tak też przyszedł naczelnik i każdego:

— Co temu? co temu? Wypisać, wypisać...

Przychodzi do mnie, a [lekarz] mówi:

— Kompletna atrofia, nawet pod siebie robi.

On odchylił koc, zobaczył:

— Eee! — machnął ręką i poszedł.

I przez to mnie lekarz jeszcze przetrzymał tydzień. I żał mi tego lekarza, bo kiedy już pracowałem w kotłowni, to któregoś dnia dowiaduję się, że został zamordowany ten lekarz Żydek. Przy szpitaliku mieszkał, on i dwóch felczerów. W barakach [w obozie] były okna okratowane, a tu w szpitaliku okna nie były okratowane. I którejś nocy wpadło kilku zbirów, Ukraińców, przez okno tylko światło troszkę padało z zewnątrz z latarni, światło było wykręcone — nożami zadźgali go w łóżku, tak że ani jęknął. Oczywiście przez okno pryśli. Dochodzenie było, tych felczerów pytano: „kto, co”. Oczywiście oni „nic nie widzieli” — gdyby wiedzieli, też by nic nie powiedzieli, bo ich to samo by czekało. Prawdopodobnie komuś z tych hersztów ukraińskich nie dał zwolnienia, nie mógł na pewno — i tak się zemścili. Tu w tym obozie była hegemonia Ukraińców. I stąd zemścili się na tym lekarzu.

Był jeszcze jeden wypadek. Byłem już chyba w trzeciej brygadzie, poszedłem do kopalni, kiedy się poprawiłem w tej kotłowni, na dole byłem. I lepiej było w kopalni. Tylko 8 godzin pracy, a nawet nie 8, bo pół godziny zanim się dojdzie i zanim wyjdzie, najwyżej 7 godzin pracy, a na powierzchni 12 godzin pracy. I o wiele lepsze jedzenie.

Pyt: To był węgiel?

Tak, węgiel. Ale to była budowa kopalni. Ja tam świetnie się czułem. Już chlebem nawet dzieliłem się, bo 300 gramów dodatkowo dostawałem. Norma nie była taka trudna, trzeba było sprytu trochę, bo te umocnienia drewniane usuwaliśmy, kopalniaki, a stawialiśmy w to miejsce żelazne, obliczone na kilkadziesiąt lat. To było na głównym sztreku.

Raz omal nie poniosłem... uchroniłem się przynajmniej od kalectwa. We trójkę stawialiśmy te ramy żelazne. Ale potem doszliśmy do wniosku, że jeśli [robić to] we dwójkę, to więcej procentu się zapisuje i więcej chleba się dostanie. A to można było całkiem [dobrze] we dwójkę robić. I ramy dwie postawiliśmy i kolega mój zakładał tak zwane „zabuntowanie”: między te żelazne ramy zakładał klocki drewna, żeby jak węgiel opada, żeby się zatrzymywał. I on raptem woła mnie. A ja szykuję gips już pod następną ramę i pneumatycznym młotem u dołu dłubię, żeby rama stanęła na odpowiednim poziomie. Ten mówi:

— Potrzymaj ramę.

Ja odszedłem, a tu jak gruchnie zwał węgla na to miejsce, gdzie ja stałem!... Rura wentylacyjna splaszczona została... Dwa wagoniki węgla musieliśmy potem wywieźć z tego miejsca.

Z kopalni ja się wydostałem dlatego — póki zjeżdżaliśmy windą, a właściwie nie windą, tylko taką prowizoryczną beczką na dół, to mogłem tam pracować. Ale zaczęto zakładać już windę stałą, nie prowizorkę. I trzeba było iść piechotą na dół i ponad 200 metrów piechotą wychodzić do góry. I serce mi wysiadło — zawsze albo musiałem godzinę wcześniej wychodzić, albo zostawałem, jeśli robota się przeciągała, to nadzór potem, że się spóźniłem sztorcowano mnie. Brygadzysta zaprowadził mnie do lekarza i mówi:

— Proszę go zbadać, bo on...

Lekarz zbadał (ale to już inny lekarz był) i ze względu na stan mego serca dano mnie pracę na powierzchni. I to na kopalni 107. Nowy brygadzysta był, taki Moskalcow — i robienie szalówek, takie bunkry budowano. I ten [Moskalcow] chciał mnie wypróbować. Kazał bramę taką zrobić. Patrzy, że ja dobrze znam się na tej robocie. I on mnie tak — bo to brygadzysta rozpisывał przydział chleba, to on mi zapisał podwójny, a potem potrójny *pajok*.

I dosyć dobrze się pracowało. Ale któregoś dnia przychodzi do mnie Moskalcow, on w innym baraku mieszkał i mówi:

— Pójdiesz za mnie, będziesz brygadę prowadził.

A ja pytam:

— A co tobie jest?

Widzę, że on...

— Mam zwolnienie lekarskie.

Ja myślałem, że na kilka dni — a okazało się, że on w ogóle już nie poszedł. I po jakimś czasie z tego obozu wywieźli go. Okazuje się, że pobili go banderowcy, Ukraińcy. Nie chcieli pracować, a kazali mu zapisywać sobie wysokie normy, żeby dostać [więcej chleba].

I ja trafiłem do takiej brygady. Bójże się Boga!... A nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi, że to tak... Na razie niby było wszystko w porządku. Dano do mojej brygady, nazwisko nawet pamiętam, to taki herszt ukraiński: *Hołubec*. I ten był tylko w brygadzie, otrzymał chleb, otrzymał żupę albo za niego ktoś [wziął] — i on nie pokazywał się w mojej brygadzie. Ale potem przeniósł się też do naszego baraku. I tutaj któreś nocy, barak zamknięty, ale nadzór przychodzi:

— Gdzie tu brygadzysta?

Wtedy ja byłem brygadystą:

— Ja.

— A *Hołubec* w twojej brygadzie?

— W mojej.

— A gdzie on śpi?

Od razu zorientowałem się, o co chodzi i ja mówię:

— On chyba śpi jeszcze w starej brygadzie, bo tu nie było miejsca, to nie przyszedł.

— A do pracy przychodzi?

— Przychodzi do pracy, tak.

A on z naszą brygadą nie wychodził, tylko z inną brygadą. Tak jakoś mu się udawało. Jego — jakąś sprawę miał — chcieli do karceru posadzić. No to mówią:

— Jak przyjdzie do ciebie, do twojej brygady, to ty nam powiesz, kiedy on będzie.

— Dobrze, powiem.

Poszli. A on zeskoczył ze swojej przyczpy:

— *Wot* — mówi — *charaszo wy skazali*. Dobrze, ja wam tego nie zapomnę.

Okazało się, że potem przydało mi się to, bo widzę ja, że nie dam rady: Ukraińcy nie pracują, Litwinów kilku jest, pracują, inne narodowości — a Ukraińcy sobie pójść spać i proszę im pisać...

Pyt: A ilu ich było w tej brygadzie?

Brygada była jakieś 30–35 osób, to ich było z piętnastu. Chyba większość była. Nie, było kilku i porządnych ludzi, ale dranie byli.

Któregoś popołudnia rozstawiłem ludzi do pracy, głowa boli — i wysoko, jakoś na 30–metrowej wysokości pod rusztowaniem na kran do wyciągu, w cieniu położyłem się. A tam w *Karagandzie* upały straszne w lecie. A w zimie mrozy, bo to kontynentalny klimat. Budzą mnie, za nogi ciągną — trzech zbirów ukraińskich. Jeden w którejś ręce obcięte miał dwa palce. I mówi:

— Nam nasz wywiad doniósł, że wy jesteście donosicielem.

Więc ja oczy wytrzeszczam:

— Ja donosicielem? Na kogo?

— A — mówią — przedwczoraj czy wczoraj was zatrzymano, nie wyszedłeś do roboty, bo tam wzywał operatywny pełnomocnik.

Ja mówię:

— Bardzo przepraszam, mylicie się, to nie był operatywny pełnomocnik, to przyjeżdżał z Karagandy śledczy, który prowadził moją sprawę, bo mnie przecież sąd nie sądził, tylko specjalne kolegium zaoczne i stale jeszcze od czasu do czasu badania przeprowadzają.

A inny taki jednooki był, mówi:

— Co ty gadasz, ściągniemy i zrzucamy go.

Z góry — tam kamienie leżały [na dole], oczywiście placek byłby ze mnie... Ale mówię:

— Czekaj, czekaj, jeszcze porozmawiamy...

Ja widzę, że tu nie ma żartów... Mówię:

— Wierzcie mi, ja jestem sam z Wilna, nikogo z Ukraińców, tylko że w brygadzie mojej którzy są, to nie znam i nie znam waszych spraw, i o was nie mógł mnie pytać... Zresztą wasz człowiek Hołubiec u mnie w brygadzie jest, przecież szukali go, ja go nie wydałem, tak?

A ten:

— Co będziesz go słuchał, ściągamy!...

Drugi mówi:

— Czekajcie, czekajcie...

Ten w okularach, bez palców, widocznie starszy jakiś był, i mówi:

— Wy jesteście polskim oficerem?

Ja mówię:

— Co z tego?

— No, to my żądamy oficerskiego słowa, bo oficer polski nie kłamie.

Ja mówię:

— Jeśli was to urządza, to daję wam oficerskie słowo, że byłem sam przesłuchiwany, a na żadne te tematy obozowe nie byłem pytany.

No to on mówi:

— Bo ja jestem oficer kurzeniowy (czy jak on powiedział?...), ukraiński, i słowu oficera polskiego wierzymy.

Podali wszyscy trzej rękę i poszli.

Zorientowałem się, że tutaj nie moje miejsce, trzeba czym prędzej jakoś się wykręcić. Był taki u mnie w brygadzie Isakow, były *lejtnant* radziecki, oficer. Tak się wyrывał, żeby... — on zdaje mi się z Kazachów pochodził, w każdym razie z czarnych *nacmenów*. A tamtym to zawsze być starszym, to dla nich to znaczyło... Ja mówię:

— Słuchaj, ja tobie przekażę brygadę, ty z Ukraińcami dobrze żyjesz, ty oficer, to potrafisz kierować ludźmi.

On mówi:

— Jak naczelnik zatwierdzi, tak.

A do spraw produkcji był specjalny oficer, *naczelnik praizwodstwa*. Oficer, nawet bodajże polskiego pochodzenia, bo nazywał się kapitan Czesławski. On wydzielał brygady na takie czy inne budowy. Więc jaidędo tego kapitana i mówię:

— Obywatelu kapitanie, proszę was, żebyście mnie zwolnili z obowiązku brygadzysty w brygadzie.

— A to dlaczego?

— Na robocie ja dobrze się znam i każde zadanie wykonam (rzeczywiście już się wyspecjalizowałem w tych szalówkowych robotach, różne skomplikowane roboty robiłem), ale ludźmi kierować ja nie potrafię. Ludzie u mnie rozlażą się, nie słuchają, nie chcą pracować i widzicie: już coraz gorzej ta brygada wykonuje zadania. Trochę zapasu miałem, a teraz już nic nie mam.

— No a kogo dasz na to miejsce?

— A mam tutaj takiego byłego oficera radzieckiego, Isakow.

— No to przyprowadź go.

Przyprowadziłem.

— Ty oficer?

— *Taktoczno!*

Tamten [Isakow] na baczność od razu...

— Będziesz kierował brygadą.

— *Taktoczno, budu.*

Ale tamten [Isakow] mówi:

— Ale warunek, że Zienkiewicz mi będzie pomagał w tych sprawach zawodowych.

Ja mówię:

— Dobrze, będę pomagał.

I w ten sposób rzekłem się. Brygada była gdzieś na szarym końcu, bo Ukraińcy wcale lepiej nie pracowali, ale przynajmniej ja miałem spokój — aż do wymarszu na Dubówkę II.

W tej Dubowce I też miałem jeszcze taki *casus*. Tenże oficer śledczy kilka razy mnie wzywał: pokazywał zdjęcia,

nazwiska czytał: kogo znam, kogo nie znam. I ostatni raz, pamiętam, czyta, czyta nazwiska, i między innymi — Światłowicza czy ja znam? A to z Wilna. Ja najpierw powiedziałem:

— Nie, nikogo nie znam...

No jeszcze raz czyta, patrzę:

— Aaa, znam jednego, Światłowicza...

— A skąd go znacie?

— A bo w Wilnie jak siedziałem w więzieniu, na śledztwie kiedy byłem, to dali mnie na konfrontację.

— Aaa!

On machnął ręką. Widocznie oni to nazwisko chyba wsadzili, że jeśli będę zaprzeczał, że nikogo nie znam, to znaczy, że ja kłamię. No ale zaczął chodzić ten *lejttenant* i mówi:

— Słuchajcie, wy jesteście osądzeni zaocznie tym *osobym sawieszczaniem*, my was obserwujemy. Jeśli będziecie dla nas pracować, to was za rok albo za pół roku odprawimy do Polski, damy dobrą posadę, bo to wszystko w rękach naszych...

Ja mówię:

— Noprzecież ja pracuję.

— *Nie walajcie duraka* (jak to mówią Rosjanie: 'nie udawaj Greka'), my wiemy, że cieszyście się wśród Polaków autorytetem, spotykacie się, zbieracie się... O czym mówią, może chcą zorganizować ucieczkę, może ktoś wysłał jakieś sprawozdania z obozu szpiegowskie czy coś — to wy na kartce [napiszecie] i wrzucicie to do skrzynki skarg i zażaleń dla mnie.

Ja mówię:

— Słuchajcie, naczelniku, jak wy sobie wyobrażacie, żebym ja swoich przyjaciół zdradzał, to wy sami będziecie mnie uważali za szmatę.

Chodził, chodził:

— Tak? To wy jednak nie pozbyliście się jeszcze faszystowskich nawyków (czy coś takiego), jeszcze nie jesteście wychowani, nie *pierewospitan* — mówi.

— Co jedno ma z drugim? — ale mówię — Słuchajcie, naczelniku, przecież wasz *rukawodziec*, Suworow, powiedział: *'Lublu danosy, no danoszczyków nienawižu'*.

Staął, wytrzeszczył oczy:

— *Otkuda wy eto znajecie?*

— No — mówię — znam język rosyjski, literaturę czytałem...

— Acha!

I zaczął tak chodzić, chodzić. No a przedtem mnie zagroził, że „tydzień karceru”. W zimie tydzień karceru to już na wykończenie. I wtedy przyszło mi na myśl, żeby powiedzieć to. Prawdopodobnie to nie Suworow powiedział, inni mówią, że Napoleon, ale oni wszystko, co takiego błyskotliwego było, to oczywiście rosyjscy bohaterowie... No i on pochodził, pochodził, wziął kartkę:

— Piszycie!

Usiadłem: że „*rozgaworem sastajawszym* dnia takiego i takiego ze starszym *lejttenantem*, świadomy tajemnicy państwowej, pod karą sądową nikomu nie powiem...”.

— No, podpiszcie.

Ja mówię:

— To ja mogę podpisać.

Zadowolony, podpisałem. Wychodzę — bo on wcześniej nadzorcę wzywał, coś mu mówił — i myślę, do karceru mnie poprowadzi. A ten:

— No, idźcie w barak.

No i poszedłem do baraku. Tak, że ci Ukraińcy troszkę słusznie podejrzewali, że mogło to być, bo akurat ja wtedy sam się przekonałem. Bo przedtem nie wierzyłem — w więzieniu mówili, że są donosiciele, ale żeby w ten sposób werbowali?... A teraz ja sam się przekonałem.

Ale zemścił się. Po paru tygodniach nieduży etap był do Dubowki II [wymowa autora: *Dubówki*]... A tu ja adresy miałem, bo i ze Lwowa jedna pani pisała i przysyłała mi paczki, i od kuzynów — a tu raptem zmiana adresu, zerwie się to. No cóż, poszedłem. Ale paczka przyszła od kuzynki tu i tam była wredna cenzorka. Ona listy kontrolowała i paczki też. Otwiera paczkę i znajduje kartkę, list i ja z daleka poznałem charakter mojej matki, chociaż po rosyjsku pisany, i tak z daleka... A ona wzięła, popatrzyła i rwie ten list. Ja mówię:

— *Grażdanka*, oddajcie to, od ośmiu lat nie miałem listu od mojej matki, to list mojej matki...

— Na to jest pocztą!

I rzuciła. A matka przysłała list do kuzynki, bo bezpośrednio można było, a kuzynka włożyła do paczki. I później ja tego dozorcę, który tam zamiatał, prosiłem, żeby może testrępy zebrał — już śmieciarka była wyrzucona i nie znalazłem. Taka wredna była... I teraz ja zorientowałem się, że to była zemsta tego [śledczego] — żeby żadnej *pierepiski*... A paczkę oddali. Potem długi czas nie miałem paczki, bo prawdopodobnie przyszła na Dubówkę I, przesłali na Dubówkę II — bo nadzór nie skradnie, ten wyższy nadzór — nadzór niższy to mógłby skraść. No i tak skończyła się moja...

Przyszedłem do tego drugiego obozu [Dubowka II], tam do brygady ciesielskiej trafiłem, był inny brygadzysta,

Rosjanin, ale dosyć porządny człowiek. Hegemonia była tu Rosjan, bo Ukraińców kiedyś oni zapędzili do takiego *sztrafnego* baraku i tamci prosili, żeby ich wywieźli... I z Rosjanami lżej było.

Pyt: Ale to już nie za Pana pobytu tam zapędzili Ukraińców?

Nie, przede mną. Właśnie, jakiś miesiąc wcześniej.

Pyt: I zabrali tych Ukraińców?

I tamci [Ukraińcy] prosili, że nie wyjdą, aż ich wywiozą. I wywieźli ich, nie wszystkich, tylko takich bojówkarzy...

Pyt: Nie wiadomo, dokąd ich wywieźli?

Gdzieś do jakiegoś innego... To też niebezpiecznie, bo potem okaże się, że ten czy ów był... Na przykład spotykałem ludzi z Dżezkazganu, tam, gdzie taka masakra była, opowiadali. No ale i ten i ów, znali jedni drugich... Ekibastus [wymowa autora: *Ekipastus*], tam też... Tam był, spotkałem, w Starej Karagandzie [?] jak byłem, takiego pana profesora Turkiewicza, zdaje się Turkiewicza. Chemik, podręcznik chemii napisał, ale on taki był wystraszony, że na podwórku rozmawiamy, a on tylko szeptem mówił — bo ktoś go podsłucha...

Pyt: On był z Ekibastusu?

Z Ekibastusu był przywieziony do Karagandy. On widział tam tę masakrę.

No i to byłoby tyle o Dubowce. W Dubowce chyba roku nie byłem, ale tam względnie spokojnie było, aż któregoś dnia: etap! — i mnie też wyzywają. Trochę dalej, bo to już samochodami nas wieźli, ale też Karaganda — Aktas.

Co tam było — do kopalni 120 chodzili do pracy i cegielnia była. W cegielni była cięższa praca niż w kopalni, bo w dzień kobiety szły, a na drugą i na trzecią zmianę (tam na trzy zmiany) — mężczyźni. Był obok barak kobiecy. I teraz tak: wywozić cegłę — gorąco. A na dworze mróz, proszę bardzo, [minus] 40 stopni. I bardzo łatwo było się zaziębić. Tylko że już ci, którzy tam pracowali, przyzwyczaili się.

A ja w Aktasie pracowałem w piekarni. Tam mnie urządził pan Saper. To był adwokat z Warszawy, nawet po powrocie do Polski byłem tam w Izbie Adwokackiej, chyba był... nie wiem, w każdym razie jakąś kierowniczą funkcję pełnił...

Pyt: On był starszy wiekiem?

Tak, starszy wiekiem. On i taki, chyba Gryf nazwisko, nie jestem pewien, to byli dwaj panowie — podejrzewali nas, że to byli Żydzi, że oni pracowali w komisji repatriacyjnej Polaków u pana generała Andersa. Kiedy pan Anders wyjechał, to te wszystkie placówki zamknięto i ich kierowników aresztowano i dano im po 10 lat. Tak, że nie wiem, czy on pierwszy raz był aresztowany, czy drugi raz, bo niektórzy, Żydzi zwłaszcza uciekali do Rosji i później tam się dostali do obozu.

On [Saper] prowadził całą księgowość w tym obozie w Aktasie dla naczelnika. I miał pewne wpływy. I on mnie wsadził do piekarni, bo dowiedział się od kolegów, że mi serce wysiada — gruźlica jeszcze chyba nie miałem, nie wiem, czy miałem gruźlicę, bo w Spasku mnie taki pan Szabat nałożył odmę, a potem się oczywiście wywiązała [gruźlica]... No i ja dosyć dobrze prosperowałem w tym Aktasie. Oczywiście chleba w obozie nie otrzymywałem, bo w piekarni miałem. Początkowo to była bardzo ciężka praca, a jak się przyzwyczaiłem, to śpiewając to robiłem, bo ręcznie się wyrabiało chleb. 5 ton dziennie trzeba było wymieszać.

Ale tutaj też, proszę bardzo — Ukraińcy też zaczęli brać górę w tym Aktasie. Ja z Ukraińcami pracowałem w piekarni i na stopie koleżeńskej. Taki pan Filip Szymański był, Ukrainiec, polskie nazwisko, plutonowy z wojska polskiego, chwalił się. Ze mną to tylko po polsku rozmawiał, ale przy swoich to po ukraińsku. On był majstrem w tej piekarni i dobrze się nam żyło. A staruszek taki był kierownikiem, księgowość prowadził: ile mąki, ile przypieku, ile wydano, komu. Bo tam to już i dla garnizonu, i dla wolnych, i dla obozu.

I my mieliśmy takie dwa pokoiki, gdzie piekarze mieszkali, połączone drzwiami. Ja w tej drugiej części mieszkalem, a tenże staruszek Rosjanin w pierwszej części leżał. I któregoś dnia przychodzi do mnie taki kolega, Ruryś Stasiak, i coś mi opowiada, i z tym Stasiem wychodzimy z baraku. A w drzwiach spotykamy czterech zbirów. I jeden był ten, który w Dubowce był, jednooki taki, dlatego poznałem, że to on. I lampkę wykrecają. Ten staruszek, ten księgowy:

— Ocho! — tylko krzyknął...

No nie ma co patrzeć. Ja ze Stasiem mówię:

— Wiesz, tu to coś niedobrego...

Kiedy ja wróciłem po godzinie — cichutko, jak makiem zasiał, Ukraińcy siedzą, w domino grają. Łóżko (pryca taka) tego [księgowego] puste, nie ma go. Idę jutro do pracy do piekarni i przychodzi któryś z naczelników, klucze przynosi — wyznaczili już innego na miejsce tego [księgowego], Ukraińca, nawet porządnego człowieka. I ten naczelnik mówi:

— Ech wy, w waszym baraku, w waszej sekcji, i dopuściliście, że *starykaszkę* takiego zmalretowali...

Bo oni kopali go, bili... Ja spotkałem się z tym staruszkiem, kiedy mnie wysłano do Karagandy na prześwietlenie — bo zacząłem płuć krwią; okazało się, to zastój był z powodu wady serca. I ja pytam go:

— Czego oni chcieli od ciebie?

— A chleba chcieli, oni chleba chcieli...

Pewnie od czasu do czasu wytykali, że biały chleb do sklepiu i tam do dla wolnych — to oni chcieli, żeby ileś tam bochenków co dzień dawać im przez tak zwaną *chlebarezkę*. A on nie zrobił tego, to go tak zmalretowali. Kiedy go po miesiącu spotkałem, to kropki krwi w twarzy nie miał, był taki biedak zmalretowany.

W tych obozach, na etapach wszystkich i w więzieniach, wszędzie byłem — w takiej Orszy najwięcej takich szakali

to Rosjanie byli. Ale bandyctwo to większe było ze strony Ukraińców. Z tamtymi [Rosjanami] to jakoś można było się dogadać...

Pyt: A ci Ukraińcy w Dubowce I wewnątrz siebie też się zwalczyli?

Właśnie tam też był wypadek, że jednego Ukraińca zamordowali, później ja przez tego pana Wyszatyckiego, z którym pracowałem w kotłowni [dowiedziałem się]. Mówili, że *stukacza* ubili...

Był jeszcze taki wypadek: nade mną spał Miszka, ze Lwowa Ukrainiec. Miszka wszyscy go nazywali. Gdzie on pracował? Chyba nie w piekarni, tylko tak... Ze mną przyjaźnie po polsku rozmawiał, wspominali, że ja też studia zaczynałem we Lwowie, to znałem Lwów... I ten pan bardzo przyjaźnie ze mną rozmawiał.

U Moskalcowa jeszcze byłem w brygadzie i kiedyś nasza brygada ostatnia była na kolacji w stołówce, bo byliśmy po łaźni. Zawsze kto do łaźni, ten ostatni kolację wtedy otrzymywał. I ja pomagałem: liczę miski i porcje przy okienku, tyłem do sali jestem, sala dosyć duża, na jakieś 50 osób przy stołach. Ławki były nawet, w kącie orkiestra gra, to znaczy taki zespół obozowy był, oni mieli jakieś obozowe funkcje: to *dniewalnych*, to zamiataczy, jakieś takie. I nie wychodzili do roboty. To był zespół jakieś cztery osoby, może jakiś bębenek, gitara, chyba akordeon był. I ja słyszę tylko raptem: muzyka chaotycznie przerywa swój seans. Ja myślę: co to za zgrzyty — odwracam się, a tu ten mój sąsiad z baraku Miszka siedzi na tym gorylu kierownika stołówki (kierownik stołówki Rosjanin, oni kiedyś też tak wzmocnili się i miał goryla swego jeszcze), a kierownik [stołówki] trzyma się za bok, pada, a Miszka wychodzi przez drugie drzwi i w sieni też pada. Trzy trupy w jednej minucie.

Ponieważ nasza brygada była ostatnia w stołówce, to wszystkich wzywali po kolei: „co kto widział?”. No to jatak jakkadr w filmie powiedziałem, że widziałem, jak Miszka siedział na tym [gorylu] i dziobał go nożem. Okazuje się, że tak: Miszka wszedł i dziabnął tego kierownika sklepu, goryl Miszkę, Miszka odwrotnie tego goryla, goryl upadł, bo bardziej go [Miszka] ugodził i ten [Miszka] zadziobał go, ale sam śmiertelną ranę dostał... Jego [Miszka] jeszcze zabrali do szpitalika, ale kiedy nieśli, to też skończył się. O takie obrazki też były w obozach...

Pyt: A ten kierownik stołówki był więźniem, czy wolnym?

Więźniem był, tylko taki był... Prawdopodobnie z Ukraińcami on się nie pogodził, nie chciał im dać [więcej jedzenia]. I właśnie potem, kiedy zabili tego [kierownika], wtedy najbardziej się Ukraińcy zmobilizowali przeciwko Rosjanom i wymuszali i na stołówce i na piekarni sobie dodatkowe porcje. Właśnie po tym fakcie, wtedy oni dopiero wzięli górę. [/]

Pyt: A czy ci Ukraińcy w Dubowce to byli banderowcy?

Przeważnie banderowcy. Tak, nawet mówili, że „ja ja drużynowy jestem”, „ja oficerem jestem”... I wszyscy mieli albo po 10 lat, albo po 25 lat wyroki. Dlaczego? Bo do 1947 roku to dawano 10 lat, a wyżej to już kara śmierci. A po 1947 roku była taka ustawa „*ot siedmowo wasmowo*”, od 7 sierpnia — już dawano takim 25 lat albo kara śmierci, tak. A nie, nawet zniesiona była kara śmierci. Tylko tak: 10 lat to było „dziecko — *nakazanie*”. Ktoś coś powiedział, takim dawano 10 lat. A jeśli już uczestnictwo w jakimś organizacji — to 25 lat. Stąd ja też miałem, chociaż zaocznie, ale 10 lat tylko, bo byłem sądzony jeszcze przed 7 sierpnia, w 47 roku.

Pyt: I Ukraińcy utrzymali w obozie tę wojskową organizację swoją?...

Tak, oni trzymali się, trzymali między sobą i jakąś dyscyplinę tam utrzymywali. Bo początkowo nie orientowałem się, ale wtedy, kiedy z panem Wyszatyckim w tym okresie w kotłowni pracowałem, to zawsze dyskretnie, żeby nikt nie widział, ale raz zobaczyłem gar ziemniaków białych — bo dla nas to odpady jakieś były, a to białych, czystych ziemniaków, omaszczonych oczywiście olejem, wystawione były tak. I ja oczywiście nie przyznałem się nawet Wyszatyckiemu, że to widziałem, żeby nie wiedział, że kuchnia haracz taki płaci Ukraińcom. Oczywiście dostawała tylko wyższa szarża, nie każdy.

Pyt: I oni z zasady nie pracowali?

Ot tak jak ten Holubec — przychodził i gdzieś tam spał czy coś, włóczył się. Brygadziści bali się nakazywać... Ale to tylko hersztowie nie pracowali, a reszta pracowała. Słabiej, gorzej — to zależało też od okresu.

Pyt: Pan mówił, że *kum* Pana pytał, czy Polacy się spotykają, czy rozmawiają... Wyście się naprawdę spotykali, kontaktowali blisko?

Więc skąd to wyszło, że my się spotykali — bo jeszcze parę miesięcy wcześniej, na Boże Narodzenie w moim baraku, w kąciu ja spałem, kilku nas się zebrało. O ile sobie przypominam, chyba był Mietek Bujwid, był Karol Nasiadek, kto to jeszcze był... Może Staś Rurys, może był... W każdym razie około 6 osób zebrało się nas. Ktoś z nas paczkę dostał, tam opłatki były, dostawaliśmy czasem niezłą rybę, taką czerwoną, tylko bardzo słona była, to już zaoszczędziliśmy tą rybę, i z tego tak zwanego *pajka*, i może jakaś odrobina była przesłana w paczce dla kogoś?...

Zrobiliśmy taki wspólny opłatek. A na górze, tak na wskos na pryczy leżał — to nie był nawet Rosjanin: Maryjec, narodowości maryjskiej. W tej chwili niestety pamiętam nazwiska jego, i czy mu się błyszczały i tak... Głodny człowiek to... jak pies patrzy czasem, jak pan zajada, a dla pieska nic nie daje... Więc ja jakoś małą kanapkę zrobiłem i mówię:

— *Weźcie, pokuszajcie...*

On to oczywiście łapczywie zjadł, i on to widział. I ja potem już skojarzyłem sobie, że to on musiał powiedzieć, że było takie spotkanie. Tym bardziej, że kiedyś — kiedy Moskalców przekazał mi brygadę — idę przez plac budowy i on [Maryjec] na takiej studziennie siedzi. Ja mówię:

— Co się stało, czemu tu siedzisz, nie pracujesz? (bo daleko od miejsca pracy)

A on mówi:

— *Brygadir, ja nie magu...*

Ja patrzę — jemu z ucha krew się sączy.

— A co się stało?

— Ja *upał*.

— No to zaraz felczera zawołam i odprowadzi cię do obozu.

— *Nie nada, nie nada*, przejdzie tak...

Nie chciał. A potem ja dowiaduję się, tego samego dnia, że dopadli go w miejscu pracy Ukraińcy i tak go pobili właśnie, że mu aż uchem i z nosa krew szła — że on donosicielem jest. I wtedy ja skojarzyłem, że chyba na mnie on też doniósł. Początkowo nie wierzyłem, to takie...

Pyt: A czy oprócz Ukraińców jakaś narodowość była tak też zorganizowana jak oni?

Dosyć dobrze w Aktasie Litwini... A skąd wiem — bo przyjaźniłem się z paru Litwinami. Jeden Litwin wiem, że był klerykiem, a drugi, jego kolega, może też kleryk, nie wiem, i trzeci... Bo na Boże Narodzenie było dwóch księży Łotyszy, kapucynów. Po polsku mówili, jeden słabiej, a taki ojciec Kisielewski, bernardyn, a właściwie franciszkanin, tam bernardynami nie nazywano (jeden kapucyn, a drugi franciszkanin, ten brązowy), to jakby naszym kapłanem był. I ci Litwini też przyszlizli na to nabożeństwo i nawet jeszcze napisali nam słowa, bo litewskie kołędy takie same jak polskie, tylko w innym języku. Napisali nam po litewsku, a my po polsku, i na przemian śpiewaliśmy. Wtedy to niemal kapliczkę mieliśmy w pustym baraku, a w sąsiedztwie — ja już wtedy byłem zwolniony z pracy jako inwalida...

Pyt: W Aktasie?

... W Aktasie, zanim do Spaska wywieźli — i oprawiałem książki dla jednego *starszyny* z garnizonu, a on mi przynosił to margaryny, to machorki... On brał książki zniszczone z biblioteki, ja mu oprawiałem i jako nowe miał dla siebie. I kiedyś ja oprawiam książki obok tej celi pustej [części baraku], gdzie kapliczkę urządziliśmy — i przychodzi naczelnik po baraku i mówi:

— Co tu robicie?

Ja mówię:

— Aaa, oprawiam.

— A komu oprawiacie?

— Dla KaWeCze (*kulturno — wospitatelnej czasti*)...

Pretekst był, bo rzeczywiście czasem coś robiłem.

— A narzędzia?

A jakie tam narzędzia, prymitywne: krzywy nóż koledzy zrobili, prowizoryczne prace. Więc ja mówię:

— Narzędzia odnoszę na wartownię.

Wychodzi i idzie do następnego pokoju.

— *A zdies'co?*

A tam większy taki [pokój], dwa pokoje były połączone drzwiami. A taki Ukrainiec, zawsze ze mną po polsku mówił, mówi:

— *A zdies', graždanin naczałnik, cerkow!... Palaczki sabierajutsia i zdies' modlutsa, wot...*

To ten mówi:

— *Zabiťdwier i skofńczyć z tym!*

I poszedł naczelnik. A jak wychodził ode mnie, to drzwi były niedomknięte i ja słyszałem całą tę rozmowę. I przychodzi ten *dniewalny* i mówi:

— Ot już naczelnik zabronił tu wam się zbierać...

Ja mówię:

— *Ujdi won!* Nie profanuj mojej polskiej mowy — po rosyjsku do niego — *Won*, ja wszystko słyszałem!...

On uszy po sobie i poszedł.

To było przed Nowym Rokiem. Akurat Nowy Rok i my się zbieramy wszyscy — bo to na Boże Narodzenie było nabożeństwo i na Nowy Rok zebraliśmy się wszyscy i teraz radzimy na korytarzu, co tu robić. Od mojej celi tam przejścia nie ma; tu drzwi zabite. A Kazio Puchalski mówi:

— Co robić?...

On taki potężny chłop był — wałnął w drzwi kopytem, drzwi poleciały, otworzyły się... I akurat ten *dniewalny* nadchodzi. I ten Kazio Puchalski:

— Leć, leć! Donieś! Widziałeś to, [donieć] na mnie, Puchalski się nazywam. Donieś!...

Oczywiście nie doniósł, bo [Puchalski] wiedziałby, że to on [doniósł] i to byłaby już...

Pyt: A pobilibyście go, jakby doniósł?

A oczywiście, tak, oczywiście by dostał, na pewno by dostał.

Pyt: A w tej izbie, w tej kaplicy były jakieś sprzęty?

Nie, był stolik pod oknem i jeden Rosjanin namalował nam — z obrazka zrobił na kartonie śliczny obraz Niepokalanego Poczęcia, ładny obraz Matki Boskiej. Czy świeczki były, już nie pamiętam, może z jakiejś łójówki czy coś tam zrobiliśmy... Księża początkowo nic nie mieli, a potem zdaje się, że komże mieli.

Pyt: I ten obraz wisiał na ścianie? Nie?...

Nie, po nabożeństwie to się zabierało i u mnie był przechowywany.

A jak do Fiodorowki stamtąd mnie zawieźli, tam taki naczelnik, starszy *lejtienant* Udotow był. Wredny był... Kiedy

nas tam przywieźli, to długo nas na bramie trzymali. Wpuszczono, ale w tej *zapret – zonie* trzymał. Wyszedł i perorował chyba pół godziny... Mówi:

– Ja wiem, że wy tam w Aktasie toście kaplicę sobie urządzili! U mnie tego nie będzie!... Jeśli zobaczę, że zbierzecie się na *kakoj malebień*, to dam wam kaplicę w karcerze!

Mówi tak od razu, ostro. Ostro podszedł. I rzeczywiście tutaj było bardzo, bardzo surowo. To było w zimie, a wiosną mnie do Spaska zabrali stamtąd, bo wtedy już naprawdę byłem chory.

Pyt: A ci Litwini w Aktasie, którzy wiedli tam prym, likwidowali donosicieli, tak jak Ukraińcy poprzednio?

Chyba tak. Ale chyba nie było wypadku w tym Aktasie, tam na ogół zgodnie żyli. Ukraińców tam niedużo było. Nawet Ukraińcy później za naszym przykładem też w jednym baraku – bo było paru księży ukraińskich – też nabożeństwa odprawiali. To najspokojniejszy obóz był.

No, w Spasku też było spokojnie, bo inwalidzi... Ale raz jakiś zryw był, bo mnie wypisano z części szpitalnej, chociaż miałem wodę w boku, do takiego ogólnego baraku i wypędzają na leczenie zawsze. I jedna osoba dyżurna zostaje zawsze w baraku i melduje, jeżeli ktoś chory leży. I ja tak zostałem w baraku. A patrzę – tutaj cała kompania przyszli, oczywiście bez broni.

Jeśli gdzieś ktoś opowiada, że z bronią, pistoletem groził w obozie komuś – to nieprawda, bo nie wolno było do obozu wejść nikomu z bronią. Tu kiedyś w telewizji była audycja i ktoś z naszych, bardzo porządnymi ludźmi, na pewno nic nie kłamał, ale opowiada, że pistoletem mu groził... To nieprawda, bo nie wolno; ani w celi więziennej ani w obozie. Widocznie starszynek zapędził się i jemu się tak wydawało, a może to gdzieś indziej było.

Więc kiedyś był taki wypadek – ja jestem dyżurny, słyszę szum, krzyki: zbiórka. Jakiś oficer był z tą kompanią żołnierzy, a do mnie wpada drugimi drzwiami Czeczen i ma kajdanki z tyłu. I do mnie:

– Dziadzia, dziadzia, atkroj, atkroj!...

Wujku to „dziadzia”. No ja mówię:

– Nie mam ani pilnika, ani klucza...

I drzwi przeciwpożarowe były tak drutem zakręcone, odkręcam to i mówię:

– Uciekaj, tam kamienie są, może kamieniem ci ktoś rozbije.

Wypuściłem go. I ten incydent... Bo jego chcieli do karceru wziąć. Rzeczywiście jemu ktoś tam kamieniami rozbił te kajdanki i tego dnia nie wzięli. Wzięli tydzień później go, bo przyjechała żona – nie żona do niego i na *swidanie*, na spotkanie. I pozwolili mu paczkę otrzymać, ale stamtąd wzięli do karceru i potem gdzieś wywieźli. Ale on wszystkim opowiadał, że Polak go uratował. I ja wkrótce potem znalazłem się w szpitalu – i Czeczeni przychodzą:

– Czy znałeś takiego i takiego.

No ja mówię:

– Znałem.

– To wy go wypuściliście z baraku?

– Ja.

No to mnie i częstują i tabakiem, i kumysem, już dla nich byłem... Bo to taki naród: jeśli bym ja wydał, to oni obowiązkowo mnie zadźgałoby nożem. A jeśli ktoś w czymś pomógł, to nie mogli zapomnieć. [/]

Pyt: W Dubowce Ukraińcy nożami [mordowali], tak?

Tak, przeważnie tak.

Pyt: A w kopalni, w pracy też leciały te trupy?

Tak, były wypadki – jak mnie chcieli zrzucić z wysokości – to najczęściej tak: „wypadek przy pracy”. Tak kamuflowano, że „wypadek przy pracy”: ktoś spadł, coś komuś na głowę spadło... Takie wypadki były.

Pyt: Ale raczej ci ludzie byli posądzani o donosicielstwo; zasłużyli jakby sobie jakoś na to, tak?

Nawet może udowodniono im donosicielstwo.

Pyt: Czyli właściwie słusznie byli straceni?

Chyba tak nawet. Kiedy ja byłem w kotłowni i tego Ukraińca, to mówili, że to *stukacza*. Widocznie mieli powód.

Pyt: A czy naczelnictwo obozu, czy było widać, że sprzyjają Ukraińcom?

Może nie tyle... pro forma robili dochodzenie... Nawet o mnie jeśli chodzi: wtedy, kiedy po Moskalowie przejąłem brygadę... Kiedyś wchodzę ja po trapie do góry na płaszczyznę 8 metrów, już jestem na górze, Staś Rurys mnie wyprzedził, a stamtąd idzie jeden Ukrainiec, z którym po polsku rozmawiałem. Bardzo porządne chłopisko. I mijamy się z nim, on idzie na dół. I raptem ja tracę przytomność... Ocknąłem się po paru godzinach już w szpitaliku obozowym. I sam nie wiem co... Prawie całą dobę byłem nieprzytomny, parę razy odzyskałem krótko świadomość. Strasznie głowa bolała i [...]. Ja spadłem 8 metrów wysokości, a tu [pod spodem] był dół czterometrowej głębokości na [...]. I dobrze, że tam woda stała i błoto było na dole, i ja do tego błota spadłem. Żeby obok, na drugą stronę, to tam kamienie były, no to oczywiście... Prawdopodobnie tę poręcz z desek złamałem swoim ciałem, chyba udem, bo bardzo tu mnie bolało, i głowa bardzo bolała.

I przyszedł ten naczelnik i pyta, jak to się stało, wypytuje. Więc ja mówię:

– Chyba serce mam nieporządek i chyba serce mnie ciuknęło i ja tak poleciałem, bo nic nie pamiętam.

Chyba powiedziałem, że przede mną kolega Rurys leciał, przecież on mnie nie zepchnął. Ale sam zastanawiałem się... Prawdopodobnie ktoś mnie walnął i dlatego głowa tak bolała, i poleciałem. Może ten Ukrainiec, który po polsku ze mną rozmawiał, może i widział, może i widział?... Ale ja przecież nie powiem... Bo jak by jego zaczęli ciągnąć, no to by mnie już dokonczyli...

Pyt: To znaczy, że brygadziści w ogóle byli podejrzewani o to, że...

Nie, nie. Właśnie tutaj mówią, że brygadziści to byli na ogół [donosicielami] — nie. Nasz Zawiediejew — my sami go wybraliśmy brygadystą, bo znał się na rzeczy, już któryś raz siedział w obozie, radziecki człowiek, on wiedział jak manipulować, jak uniknąć represji...

Ale było i tak: przyjeżdża etap, już chuligani tacy, *urkagani*, oni mówią, że „Wasia, ty pójdziesz brygadystą, ty pójdziesz ten”... I teraz oni sami nabierają [wybierają ludzi na brygadystów] i nieraz, tak też bywa... o, jak ja tego Isakowa podałem — nie jego władza wybrała na to, mnie też nie władza, tylko Moskalcow jako swemu zastępcy zostawił brygadę, no i „ty będziesz”, i musiałem sprawozdania pisać. O, w piekarni, szef kuchni czy coś, tacy to nieraz byli [donosicielami]. Jak tego szefa kuchni ten Ukrainiec Miszka zarzął. Oczywiście — on [szef kuchni] elegancko ubrany chodził, nawet nie w obozowej fufajce; wiadomo, że to był już konfident.

Pyt: A tych *urków*, o których Pan wspominał, dużo było w Dubowce?

To raczej już byli, powiedziałbym... na Uralu to *urkagani*... Bo tam politycznych nie było. A tu sami polityczni, tak że wśród Rosjan byli i *urki*, ale raczej podciągali się do elity politycznej.

Pyt: Nie mieli znaczenia w obozie, nie stanowili jakiejś siły?

Nie, nie. To nie byli *urki*, tylko... Pewno, że byli i *urki* i złodzieje byli, a raczej wymuszali... Na Uralu to paczkę trzeba było odbierać z grupą kilku kolegów, bo inaczej rozszarpano. A i tak przychodzili nieraz: podzielisz się z nimi? Na Uralu to strasznie było z nimi, a tutaj polityczni, to nie można powiedzieć żeby to byli *torbachwaty*...

Pyt: Wspomniał Pan, że spotkał Pan więźniów z Ekibastusu i z Dżezkazganu i oni opowiadali o masakrach. A czy w innych rejonach, w innych obozach, na przykład na Północy, jacyś więźniowie stamtąd byli? Z Workuty na przykład?

Nie, stamtąd nie. Chyba tak jak my z Karagandy przywiezieni, w tym czasie tak, ale już po śmierci Stalina to stamtąd nikogo nie spotkałem.

Pewno, że mieszano. Ciekawego człowieka spotkałem w Starej Karagandzie, gdzie mnie na przebadanie posłano. To był generał sowiecki. W rodzinie Potockich jego ojciec zdaje się był oficjantem jakimś. Kiedy Potocki pojechał do Szwajcarii na studia, to tego totumfackiego, tego Żyda syn też pojechał. Nazwiska jego nie pamiętam: Klajn, Klawisz, Klajner, coś tego rodzaju, nie pamiętam. No i on skończył studia we Lwowie — opowiadał, że z hrabią Potockim studia kończył, że Potocki płacił za niego i że jako podporucznik czy porucznik armii austriackiej dostał się do niewoli rosyjskiej. W czasie rewolucji kiedyś zebrano ich i „kto chce przystąpić do rewolucji, to wystąp”. On mówi, że „ja wystąpiłem i jeszcze oprócz mnie jeden, a reszta nikt nie wystąpił, nie przyłączył się do rewolucji radzieckiej”. I ten pan zaczął szybko awansować w armii sowieckiej. Kiedy się wojna skończyła, już był w stopniu *kombryga* (*kamandir brygady*), to jak generał brygady. W tym stopniu był w misji w Chinach i kiedy tam Czang — Kaj — Szek wykończył całą misję sowiecką, to on w tym czasie, mówił, nie był na tym przyjęciu, zachorował, nie był aresztowany, i udało mu się wrócić do Moskwy. Tam zaczął pracować na politechnice i też awansował aż do stopnia profesora. W czasie wojny polsko — sowieckiej w 1939 roku on jako *kombryg* przyjechał do Lwowa w generalskim mundurze. I tam — nie wiem, czy miał nadzór nad politechniką, czy nawet rektorem politechniki był; chwalił się... wyglądało, że rektorem został politechniki... Ale kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, on znowu, zbiegiem okoliczności, był chory i nie został zmobilizowany i nie uciekł z radziecką armią. Możliwe, że mu coś przeszkodziło uciec. I opowiada, że on cały czas przechowywał się, ukraińscy księża go przechowywali. Kiedy władza radziecka wróciła, on się ujawnił we Lwowie i po jakimś czasie go aresztowano: „czemu nie uciekł razem z nimi?” A jeśli nie uciekł — dlaczego go Niemcy nie wykończyli? A jeśli on się przechowywał — dlaczego nie włączył się do ruchu partyzanckiego rosyjskiego? W każdym razie osądzono go na 10 lat.

A mnie koledzy, tacy panowie Zaniewscy, przestrzegali przed nim, mówią:

— Uważaj, to chyba będzie donosiciel.

No nic takiego nie mówiłem... [—]

Pyt: Czy pamięta Pan — wymienił Pan Hołubca — jakichś innych tych *naczelników* ukraińskich?

Nie pamiętam. Na pewno znałem...

Pyt: Ale było ich kilku, tak?

No oczywiście, oczywiście. Choćby ten, który chciał mnie zrzucić... On się przedstawiał, ale nie pamiętam nazwiska. Zresztą my Polacy jak najdalej... [!]

Pyt: A czy zauważył Pan, czy inne wyznania organizowały sobie, na przykład Ukraińcy albo Rosjanie, też jakieś wspólne nabożeństwa, modlitwy?...

Więc wzorem naszym poszli Ukraińcy. I oni — bo nawet znałem jednego księdza Ukraińca, który po polsku ze mną rozmawiał. Kiedyś na Zielone Świątki my wychodzimy z naszego baraku, on mówi:

— Och, jak to przyjemnie słyszeć i popatrzeć, jak wy Polacy święto macie (bo Zielone Świąta były), wszyscy zebrałiście się i razem modliliście się na mszy. A nasi Ukraińcy to — mówi — to tylko *rezaty* i temu podobne.

Tak ganił swoich. A ja mu wtedy wypaliłem:

— Tak wyście ich wychowali.

A żeby było jeszcze ciekawiej, to ten ksiądz, nie pamiętam jego nazwiska, był z Sokala i kończył to samo gimnazjum, co ja kończyłem w Sokalu, tylko 10 lat wcześniej.

Pyt: W Aktasie było to zdarzenie?

Tak, w Aktasie. Ale ja potem patrzę — Ukraińcy nabożeństwa odpowiadają, a on się nie włączył. Co jest? Jeden Ukrainiec mnie wtajemniczył, mówi tak:

— On, kiedy przepisywano na prawosławie, bo groziło to wywiezieniem (i tak zresztą wywozili i sądzili), to on przeszedł na prawosławie, bo ratował swoją rodzinę. Ale ponieważ partyzanci, banderowcy, szczególnie takich upodobał i przychodzili i „dawaj mięso i kałbasy, bo cię spalimy!”, to on musiał dawać. „A jeśli zameldujesz, to też ciebie spalimy”. To on nie zameldował. Ale ktoś podpatrzył, że do niego banderowcy przychodzą, i doniósł władzom radzieckim. I nic nie pomogło, że on przeszedł na prawosławie — wszystko jedno: dlatego, że pożywał banderowców, dawał im prowiant, to go skazano na 10 lat.

Ale później, o dziwo, patrzę — kiedyś on uczestniczył w tym nabożeństwie ukraińskim już jako diakon. I pytam tego swego przyjaciela:

— Co to jest, że on?... „Ekskomunika” zdjęta, czy co?

— A — mówi — bo wśród naszych i biskup był i biskup go przyjął znowu na łono kościoła katolickiego.

Powrócił, bo nie opłacało mu się to prawosławie. Inne narodowości to nie widziałem, natomiast sekciarze, ci to się gromadzili. I Zielonoświątkowcy czy coś, zwłaszcza w lecie w Aktasie, tam najwięcej swobody było religijnej — na ganku jednego baraku siadają i jakiś prorok przemówienie do nich jakieś miał, a potem wznosili ręce i bełkotali, że to niby tak, jak Duch Święty zstąpił...

Pyt: To Rosjanie byli przeważnie?

Przeważnie Rosjanie. Jeden taki Pietruszka, nie, Pietrusza zdaje mi się, taki *dochadiaga* był, zagłodzony — a tu patrzmy kiedyś: on ożywiony... Aż on przystąpił do tych Świątkowców. A oni z zewnątrz dostawali paczki — i on przestał palić, przestał kłaść, bo do nich przystał. Ale po śmierci Stalina, kiedy poprawiły się warunki, kiedy już i bez paczki można było dobrze przeżyć — on machnął ręką i też zapalił i mówi:

— Mam ich dosyć.

Niektórzy oszukiwali, żeby dostać kawałek chleba. Spotykałem też innych sekciarzy, też zbierali się, ale oni dyskretni — jeśli ktoś przyszedł (ich kilku było), zaraz wymowne milczenie było, dawali do zrozumienia, że osoba niepożądana.

Pyt: Tylko ci Zielonoświątkowcy nie kłękali w obozie, tak?

Tak.

Pyt: A nie było przypadków, żeby Żydzi coś organizowali?

Nie, tego nie widziałem. Zresztą Żydów dużo nie było. W jednym obozie, właśnie w Aktasie — to było chyba przed śmiercią Stalina jeszcze — co etap, to kilkunastu Żydów do tego obozu trafiało. I kiedyś grypa azjatycka zapanowała. Zresztą już w Dubowce II i potem w Aktasie Żydów sporo przyjechało. I taka *naczelnica*, kto miał gorączkę podwyższoną, już to takie stereotypowe u niej:

— Łyżku, łożku i w barak kwarantanny...

No i ja też miałem podwyższoną gorączkę:

— Bierz łyżkę i kubek i do tego baraku.

I przyszło mi leżeć: ja, Borys, pamiętam tylko imię, i Okoń, pamiętam tylko nazwisko — obok mnie leżeli. Ja dostałem paczkę, czy wcześniej, czy już tam będąc, i suchary jakieś półslodkie, i *czaju* przynieśli, ja częstuję ich i ten *czaj*... Jak człowiek nie głodny, to [po *czaju*] tak jak po kieliszku zaczyna się uzewnętrzniać; ja mówię:

— Powiedźcie mnie, Borys Sabaczkowicz [?], co to jest, że was tyłu przyjechało do obozu. Przedtem bardzo mało was było...

A on:

— To wy nie słyszeliście?

— Nie, nic nie słyszałem.

— Do Moskwy przyjechała Golda Meir, posłanka z Izraela (bo Związek Radziecki pierwszy uznał państwo Izrael, przed wszystkimi), i spotykała się z Żydami w synagodze, w teatrze żydowskim... — i ten [Borys] mówi, bo inteligentny był — Jak opowiadają chrześcijanie, że Chrystusa witano i szaty pod nogi mu rzucano, tak jej płaszcze zdejmowali i pod nogi jej rzucali, żeby ona nadepnęła, to jako relikwie... Tak ją fetowano jak świętą, bo to symbol niepodległego państwa. No i ona gdzieś na spotkaniu w synagodze obiecała, że wypertraktuje ze Stalinem, żeby Stalin pozwolił Żydom wyjeżdżać do Izraela. Stalin w zasadzie się zgodził, tylko nie wierzy, żeby tam na niepewny los Żydzi z ustabilizowanego kraju wyjechali.

A Żydzi jak podnieśli rejdach:

— I ja! I ja!...

Po prostu demonstracja była — że chcą wyjechać. To ona mu po jakichś tam rozmowach, może nie ze Stalinem, ale „niech się zorganizuje komitet, niech dadzą listę, kto chce wyjechać, a potem będą pertraktacje i będą mogli wyjechać”. Oczywiście samoczynnie powstał komitet i ci moi dwaj znajomi wstąpili do tego komitetu organizacyjnego Żydów — i tysiące Żydów, bo aż z Kameczatki poprzyjeżdżali, bo to tak lotem błyskawicy się... Samolotami poprzylatywali, nie było miejsca w żadnym hotelu w Moskwie, tyłu Żydów najechało.

Po jej [Goldy Meir] wyjeździe Stalin i Beria i inni zastanowili się, co z tym fantem zrobić. Przecież tu generały, ministrowie [chcą wyjechać]... Ten Okoń był ministrem [...]. „Ministrowie, generały pozapisywali się na wyjazd, wszystkie tajemnice nasze wywiozą, co z tym fantem zrobić?”. Nie wiadomo, który z tych dygnitarzy radzieckich powiedział:

— No przecież to jest syjonistyczna organizacja, mamy spisy, mamy wykazy; wiadomo, to wrogowie socjalizmu, wiadomo, co z nimi zrobić.

No i dawaj wtedy... I ci co byli w komitecie — po 25 lat i pan Okoń, minister, i ten pan Borys, też jakiś wyższy urzędnik ministerstwa po 25 lat dostali, a inni Żydki, którzy się zapisali, po 10 lat dostali. W odpowiedzi Żydki wysadzili w powietrze poselstwo radzieckie w Tel — Awiwie. Może starsi ludzie to pamiętają. No i zerwano stosunki i tak się to ciągnęło, aż do Breżniewa.

Pyt: A czy były przypadki organizowania się Żydów w którymś z obozów?

W obozach nie było nic, nie zauważyliśmy. Ba, nawet ja tu paru przyjaciół Żydów mam na tym zdjęciu i oni... To zależy — jeśli z Polski Żydzi byli, to z Polakami trzymali, jeśli z Litwy, to z Litwinami...

Pyt: A stosunki żydowsko — ukraińskie były jakieś szczególne, czy raczej nie?

Nie, nie zauważyłem, nie mogę powiedzieć.

Pyt: A z jakim nastrojem przyjęliście wiadomość o śmierci Stalina, potem o aresztowaniu Berii?

My oczywiście wszyscy więźniowie, wszyscy (może Rosjanie niektórzy...) — oczywiście z ulgą to przyjęliśmy, bo wiedzieliśmy, że to największy kat. A zauważyliśmy konsternację wśród nadzoru i wśród *naczelników*. Ba, jeden nadzorca, to ja mówiłem, taki Uzbek, opowiadał, że „coś tu będzie, bo nasz generał, naczelnik KAR — łagu został wezwany do Moskwy, samolotem poleciał — i z Moskwy nie wrócił. Zdaje się, że Sierow się nazywał ten generał, tak. [—]

Pyt: I nie wrócił z Moskwy?

Już nie wrócił. Zdjęto nam chyba w kwietniu [1953] numery i — ponieważ były wyprawione — dano jakieś pasty i trzeba było zasmarować. Jeśli ktoś nie zasmarował, to do karceru zwracano, do tego stopnia. Przestano zamykać na noc w barakach, można było pójść z baraku do baraku, już więcej swobody było. Pod każdym względem się poprawiło. Uznano nas za ludzi.

Pyt: Ale liczyliście na to, że wrócicie szybciej do domu?

Tak, zaczęliśmy już liczyć na to. Bo jakie to były... [I] Nie, chociaż dwa lata to jeszcze mieliśmy nadzieję, ale tylko niektórych, pojedynczych Polaków zaczęto zwalniać. Zastanawialiśmy się, dlaczego? Taki Mucha, Ślęzak, został przedwcześnie zwolniony... „Co to jest?.. Nawet częściowo podejrzewano, że może był konfidentem, ale nie przypuszczam, bo to Ślęzak był. Nie wiem, jak on trafił do obozu, zdaje się, że jak to Ślęzaków — oni prawie wszystkich... Może gdzieś coś powiedział później, bo niektórzy wrócili i on wcześniej wrócił, bo Ślęzaków wcześniej zaczęto zwalniać. Pan Saper i ten jego kolega też wcześniej, jeszcze przed ukończeniem wyroku pojechali... Tak, że zaczęliśmy się spodziewać... Taki pan Wroński chyba prawnik z Warszawy...

Pyt: Oni z Aktasu byli?

Nie, pana Wrońskiego poznałem, i to tylko przez druty, poznałem w Spasku. On odwiedzał pana kapitana Stawowskiego. Stawowski, biedak, zmarł w Spasku.

A już w 1955 roku zaczęto spisywać wszystkich Polaków. Jeden transport odszedł w 1955 roku. Ja czekałem, czekałem, a tymczasem i 1956, i nic nie ma. I wzywa mnie na Boże Narodzenie 1955 roku naczelnik tej sanitarnej *czasti*, pułkownik, i mówi:

— Zienkiewicz, wy już wolni jesteście, ja nie mam prawa was trzymać. Dokąd chcecie jechać?

Ja mówię:

— Do Polski.

Bo zapisywano nas. Ja mówię:

— Czekam na etap.

— No na razie nie ma transportu, a ja was nie mogę odprawić. A tak na wolność?

A ja mówię:

— A dokąd ja pójdę?

Zresztą z wodą w boku tak, inwalida kompletny... A dlaczego już na Boże Narodzenie — bo po śmierci Stalina za wykonywanie roboty, jeśli ja 125 procent wypracowałem, to jedną ćwiartkę dnia [dodawano jako odsiedziany wyrok], a jeśli 150 procent — to 50 [procent dnia]. I u mnie zebrało się prawie 6 miesięcy, 6 miesięcy dosłownie składało się, że mogłem o 6 miesięcy wcześniej wyjść z obozu.

No i tak doczekałem jeszcze do wiosny. Na wiosnę przyjeżdża — wcześniej jeszcze przyjeżdżała komisja, jak już w 1955 roku zwalniano, nawet Ukraińców niektórych zwalniano, inwalidów zupełnych zwalniano — a tutaj był 1956 rok, wzywa mnie znowu naczelnik, mówi:

— Przyjeżdża komisja, ja was nie mam prawa trzymać wolnego w obozie.

Też zdziwiłby się ktoś, że zwalniali, a nie chcą wyjść. Bo ja tam miałem wikt i opierunek, jaki taki, ale już można było żyć. A wyjdę, to nie mam dokąd. On [naczelnik] wie, transportu nie będzie wspólnego, ale indywidualnie każdy może starać się o wyjazd. I ja już w obozie dowiedziałem się, że indywidualnie składa się dokumenty i można wyjechać. Więc mówię:

— Ja was wysłę do szpitala w Karagandzie (mam te zdjęcia ze szpitala), i tam już jako wolny człowiek będziecie mogli jechać do urzędu OWIR — u i starać się o wyjazd.

No toteż ja pojechałem, brat [z Polski] przysłał mi zaświadczenie obywatelstwa, trzeba było takie, że nadal jestem obywatelem polskim... Oprócz tego jeszcze z Moskwy z ambasady taki dokument dostałem...

No ale zanim wyjechałem, to kilka miesięcy przeszło, bo poznańskie te wypadki powstrzymały. Dopiero jesienią

dostałem zezwolenie na wyjazd, już ze szpitala, jako człowiek wolny. W tym szpitalu sympatycznie było, chociaż to były baraki, ale opieka była bardzo dobra. Sympatyczna była dyrektorka, Żydówka z Polski, z Oświęcimia, pani Kolender, a ja byłem na oddziale — bardzo sympatyczna, dobry lekarz i dobry człowiek: Tatiana Pawłowna Fiodorowa... Wyrzuty sobie czynię, że do niej nie napisałem... Bo ja ciężko chorowałem po przyjeździe, pół roku w sanatorium byłem. Pani Fiodorowa, leżałem na jej oddziale i kiedyś gorączka wyskoczyła. Ona spotyka na mieście pielęgniarkę i mówi:

— Co tam na oddziale?

A ona mówi:

— Nic specjalnego, wszystko w porządku, tylko Zienkiewicz zaczął gorączkować.

Ta [Fiodorowa] po pracy — jedzie do szpitala, żeby zbadać, co jest. Taka troskliwa była. Może troszkę jakiś dziwny sentyment do Polaków był, bo im dalej od granicy w głąb Rosji, tym Rosjanie życzliwsi byli dla Polaków.

Pyt.: A Dubowka była daleko od Karagandy?

Dubowka chyba 18 kilometrów... Tak, bo te wszystkie obozy były dookoła miasta: Fiodorowka, Dubowka, Aktas, ale wszystko Karaganda. Ale przy tym były nabudowane domy dla nadzoru, dla obsługi. Jedyne może Fiodorowka to było coś w rodzaju miasteczka. I Spask to też — same obozy były i ileś tam domów było dla wolnych. Spask był jakieś 40—45 kilometrów od centrum Karagandy.

* * *

Znaki stosowane w tekście:

[...] — fragment nagrania nieczytelny

[—] — fragment nagrania nieistotny

[/] — rozmowa była przeprowadzana przy wyłączonym sprzęcie nagrywającym

[?] — fragment nagrania trudny do odczytania; prawidłowość odczytania wątpliwa

[] — słowa w nawiasach kwadratowych nie wypowiedziane przez autora relacji, dodane od osoby redagującej relację, konieczne dla zrozumienia sensu wypowiedzi